

Tomasz Stężala



16 PANCERNA

Wydanie autorskie, Elbląg 2019. Kopiowanie, używanie całości lub fragmentów bez zgody autora jest zakazane.

Z góry przepraszam czytelników za pojawiające się słowa, które powszechnie uważane są za wulgarne. Środowisko żołnierzy sprzed trzydziestu lat posługiwało się bardzo „kwiecistą” wersją polszczyzny, a ja chcąc zachować jak najbardziej wiarygodność relacji i klimat wydarzeń, zmuszony byłem dostosować się do wspomnień i oryginalnego języka Tomasz Kmity.

Postacie

*Rysiek Bukowski – sierżant, z mundurówki,
Karol Makwa - młodszy chorąży, z mundurówki,
Jan Rydz – podchorąży, „łabędź”,
Jan Dymka - kapitan, szef sztabu pułku,
Włodzimierz Czuwała - podpułkownik, oficer polityczny,
Arek Dudziński - major, dowódca pułku,
Jan Bańkowski - porucznik, remontowiec, komendant garnizonu Hillerød,
Grzegorz Nowak - młodszy chorąży z batalionu budowy lotnisk,
Józef Nowiński - kapitan MO,
Marian Chlebek – porucznik, żywnościowiec pułku,
Zdzisław Ochódzki – major, kwatermistrz pułku,
Grzesiek Mazurek – szeregowiec, „kot”,
Krzysiek – pomocnik magazyniera mundurówki na poligonach,
Mirek – starszy szeregowy, mój kierowca,
Janek – kapral z komendy Hillerød,
Jackowski – kapral, kierowca Bukowskiego,
Birgit – dziewczyna z Hillerød,
Steen – duński żołnierz, jeńiec,
Lindberg – kustosz w Hillerød,
Doktor Nielssen - ortopeda ze szpitala w Hillerød,
Pan Jackob - przedstawiciel ratusza w Hillerød.*

Tu jest miejsce na dedykację dla.....

Okonek

Obudziło mnie zimno. Odruchowo podciągnąłem narzucony na głowę koc, ale niewiele to pomogło. Twarz marzła. Do chóru wrogów snu dołączył pęcherz, który coraz mocniej zaczął przypominać o swoim istnieniu. Przez chwilę leżałem zawinięty w śpiworze, pod kilkoma kocami, starając się spacyfikować budziki. Gdy zgrzytnęły otwierane drzwiczki piecyka, zwyczajowa zapowiedź kolejnego dnia, ostatecznie skapitulowałem. Przez plastikowe okno naszego NS-a¹ wpadało ostre słoneczne światło, które zmusiło mnie do zmrużenia oczu.

- Krzysiek, znowu zaspaleś... - mruknąłem dla porządku w kierunku żołnierzyka.

- Noo – usłyszałem w odpowiedzi – ale dzisiaj piździ, panie podchorąży. Ze

dwadzieścia będzie.

Pamiętam, że na moment znieruchomiałem, jakby słowa naszego pomocnika magazyniera przyniosły jakąś niezwykle zaskakującą wiadomość. Jakby znaczyły coś ważnego. Przypomniał mi się wczorajszy list od żony, że u „nich”, w Elblągu znowu wyłączyli prąd, że biedaczka musiała spod dworca na piechotę iść do domu w trzaskającym mrozie, że się w efekcie przeziębila. Urząd na skraju Grunwaldzkiej i Mickiewicza miał zazwyczaj problemy z rozliczeniem w terminie, więc kiedy byłem w Elblągu, na dwudziestą drugą zajeżdżałem na pocztę i tam czekałem, aby razem z Basią wrócić. Teraz jednak od przeszło trzech tygodni była sama, gdyż ja wraz z 60 Kartuskim Pułkiem Czołgów Średnich odbębniałem zimowe manewry na poligonie pod Okonkiem. Wraz z młodszym chorążym Karolem Makwą, który jesienią przejął „moje” obowiązki szefa pułkowej mundurówki, spędzaliśmy nudne dni na grze w karty, odwiedzinach w namiotach kadry gdzie się piło, oraz na wałęsaniu się bez celu udając bardzo zapracowanego. Do pomocy, jeszcze w garnizonie, dostaliśmy sprytnego chłopaka - sapersa Krzyśka, który szybko poznał się na pracy magazynowej i zabezpieczał „magazyn mundurowy”, który mieścił się w drugim namiocie, dołączonym do naszej „kancelarii”. W posiadaniu mieliśmy jeszcze Stara 6x6² – łaźnię i prawdziwy antyk – „pszczołkę”³ w wersji beczkowóz.

Pomrugawszy oczami dostrzegłem, że nie przyniesiono nam jeszcze śniadania, a zatem musiało być dość wcześnie.

- Która godzina?

- Piętnaście po siódmej. Coś się dzieje, bo wszyscy latają jak wściekli.

- Dobra, rozpalaj szybciej i budź chorążego. – Wydawszy oczywiste polecenia sięgnąłem pod siebie, pod śpiwór, gdzie „prasowało się” moje moro⁴. Starając się nie wylazić z ciepłego kokonu, szybko naciągnąłem na dresy mundur, pas, drugą parę wełnianych skarpet, gumofilce, czapkę i wylałem z polowego łóżka. Wykonując szybkie ruchy, pościeliłem łóżko, wrzuciłem na siebie kurtkę, na głowę kominiarkę i bezceremonialnie odpychając Krzyśka wyostałem się z namiotu. Oślepiony światłem, ruszyłem mrużąc oczy w stronę lasu, gdzie zlokalizowano domek z klozetami dla kadry, do której też się zaliczałem. Wprawdzie inni podchorążowie biegali do dołów kloacznych, bądź kibelka na kilkadziesiąt oczek - bez zamknięcia, ale ja dysponowałem cennym kluczem do sraczyka, który dzieliłem z

¹Namiet NS 10 – typowy namiot wojskowy o półbeczkowatym kształcie, z podpinką bawełnianą. Konstrukcja pozwalała na łączenie kilku sztuk. Wykorzystywany jako mieszkalny, magazynowy, szpitalny, itp.

²Star 660.

³Star 27.

⁴Kamuflaż wz. 68 – nadruk maskujący na mundurach, a potocznie mundur polowy żołnierza LWP.

Makwą. Szedłem swoją tradycyjną trasą, pomiędzy namiotami drugiej kompanii czołgów, ryzykując potknięcie się o napięte linki. Dzięki temu znikam z oczu naczalstwu: a co z oczu, to i z pamięci.

Krzysiek miał rację. W obozowisku panował większy niż zwykle rozgardiasz. Wczoraj ani w kantynie, ani w namiocie wesołych podoficerów i chorążych z zaopatrzenia nie było mowy o jakichś nowych manewrach. Wojsko pomału kończyło zimowe ćwiczenia na poligonie: jak stwierdził nasz szef sztabu, kapitan Dymka, dostaliśmy ponad czwórkę ze strzelania i coś tam jeszcze, więc można było z podniesioną głową wracać do domu. Między linią namiotów i mną, a lasem, stał dwusereg ludzi w czarnuchach, w czapkach, z plecakami na grzbietach, słuchający w trzaskającym mrozie swojego dowódcy.

- „Powariowali? Medycy znowu będą płakali, że nie mają gdzie chorych położyć!” – pomyślałem zirytowany. Żeby ich obejść, musiałbym nadłożyć sporo drogi, a zwieracze ledwo trzymały. Obciągnąłem kurtkę i energicznym krokiem wyminąłem stojących na zbiorce, nie zapominając o oddaniu honorów. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi, za to ja skonstatowałem, że kręcący się zazwyczaj w takich sytuacjach szweje, stali jak trusie, wyraźnie przejęci.

Zamknąwszy się w pobielonym „domku”, wystawiwszy „klejnoty” na ugryzienia mrozu myślałem o powrocie do domu. Jako mundurowcy mieliśmy rozliczyć pułkowe obozowisko, co oznaczało powrót do koszar kilka dni później. Trudno, coś trzeba zrobić po dwudziestu dniach obijania się. Wracając, przepuściłem pułkowych piechociarzy, którzy z pełnym oporządzeniem energicznie maszerowali w kierunku parku pojazdów, do swoich bewupów. Zdecydowanie coś się szykowało i trzeba było doprowadzić mundurówkę do porządku. Wcisnąłem się do namiotu i zakląłem. Makwa wciąż spał, a w namiocie czuć było kwaśny odór kaca. Młodszy chorąży, kawał byczka, lubił też byczo popić.

- Karol wstawaj, coś się dzieje! – szarpnąłem go bezceremonialnie.

Zabełkotał próbując mnie odepchnąć.

- Wstawaj kretynie, inspekcja! – ryknąłem mu w ucho i przezornie odskoczyłem.

Poderwał się do siadu, nieprzytomnie młócąc rękoma. Otworzył oczy, jęknął z bólu i opadł na poduszkę.

- Zaraz tu będą, baranie! – warknąłem i zrzuciłem z niego koce.

- Poszukaj mi wódki. Muszę się napić. – Wyduślił z siebie.

- I co, chuchniesz kwaterowi w twarz?

Litościwie podałem mu z piecyka blaszany kubek, w którym lód już prawie stopniał. Zakrztusił się, i rozkaszał, ale wracał do życia.

- Jest herbata?

- Nie ma, przecież mówię, że coś się dzieje. Kuchnia nam nie przyniosła dzisiaj. Ubieraj się, a ja pójde się czegoś dowiedzieć.

Nie czekając na odpowiedź, rozsznurowałem do połowy poły namiotu i wydostałem się na mróz. Teraz wyraźnie słychać było stłumiony nieco przez odległość gang czołgowych silników. Koło namiotowej kantyny mignął mi chorąży – szef kuchni. Zdecydowałem jednak nie podchodzić do niego, gdyż o tej porze nieczęsto bywał w dobrym humorze. Dość lubiliśmy się, ale nie aż tak, by ryzykować utratę żywieniowych przywilejów. Schwyciłem za to jednego z kucharzy za ramię.

- Widziałeś porucznika Chlebka?

Odwrócił się, na rękach miał dwa kartony wypełnione puszkami.

- U siebie.

Powstrzymałem się, by zapytać go o nowiny. Kucharze wstawali jako pierwsi i jako ostatni kładli się spać, więc zawsze znali najświeższe wiadomości. Ale ten nigdy nie był zbyt rozmowny, zresztą wolałem dowiedzieć się u źródła.

Podjąłem połę namiotu i wśliznąłem się do środka. Jako „sztabowiec” często spotykałem się z szefem żywnościówki na naszym piętrze koszarowca przy ulicy Mazurskiej. Chlebek był niewiele starszy, więc w mniej oficjalnej rozmowie, używałem wobec niego form bezosobowych, nie przechodząc jednak na ty. Jako zaopatrzenie trzymaliśmy się razem, świadcząc sobie różne drobne przysługi. Kucharze i kelnerzy wymieniali brudne mundury i bieliznę znacznie częściej niż reszta wojska, poza tym dla nich też odpalaliśmy w środku tygodnia naszą samochodową łaźnię. W zamian ja „awansowałem” do kantyny wraz z zawodowymi, a od kiedy przestaliśmy się z Makwą pokazywać na porannych zbiórkach, jeden z kelnerów zawsze przychodził do nas z ciepłym śniadaniem. Ot, takie przejawy cywilizacji w zielonym otoczeniu.

Porucznik Chlebek siedział pod żarówką przy zbitym z desek stole i skrobał coś w papierach.

- Czołem poruczniku. Można?

Popatrzył i skinął głową. Z zazdrością zauważyłem przy nim kubek prawdziwej kawy.

- Co śpiochy? Śniadanka nie przynieśli?

Rozebrało mnie. Uśmiechnąłem się zdejmując czapkę.

- Noo. Co się dzieje? Wszyscy latają jak wściekli.

- Bo są wkurwieni na maksa. Ruszamy w teren na trzy dni, a potem możliwe, że czeka nas przemarsz pod Żagań.

- Jak to, przecież wczoraj kwater mówił...

- Gówno wiedział. Nawet Mordęga⁵ ponoć nic nie wiedział. Z MON-u w nocy przyszło. Że też do was nigdy nic nie dochodzi...

- Nasza chata z kraja..., więc mamy przechlapane. My i tak mieliśmy tu zostać dłużej na rozliczenie poligonu...

- Pewnie zostaniecie, bo komenda poligonu nie daruje wam. Tak czy inaczej, od nas puszek dostaniecie, a od kwatery kasę na wódkę.

Patrzyłem na niego z głupią miną. Skrzywił się.

- A jak rozliczycie z magazynierem spalone namioty i wycięte drzewka? Makwa zresztą już wtajemniczony, dlatego wczoraj pojechał do Okonka załatwiać sprawy.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

- Dobra, nie przeszkadzam. Aha, coś się dla nas znajdzie?

Kiwnął tylko głową. Zamyślony podreptałem do magazynu żywnościowego, skąd wzięłem zamrożony chleb i rybne puszki. Coś tam jeszcze mieliśmy w namiocie. Cudem nie wpadłem na kwatery, który na mój widok zapewne dostałby szału. O tej porze na poligonie nasz kwatermistrz zwalczał pozostałości wieczornej popijawy i nastrój miewał podły.

Bezpiecznie dotarłem do namiotu. W środku siedział tylko Krzysiek, pakując do worków przywiezioną właśnie z pralni bieliznę.

- Gdzie chorąży? Przyniosłem śniadanie...

Popatrzył na mnie dziwnie. Zauważyłem, że jest zdenerwowany.

- Wezwał go kwatermistrz. A o podchorążego też się pytał.

Rzuciłem chleb na piecyk. No to koniec wakacji z MON-em. Co dla mnie wymyślił kwatery? Tak czy inaczej, najpierw należało podjeść.

*

⁵ Ówczesny dowódca 16. Kaszubskiej Dywizji Pancerniej.

Po około godzinie do namiotu przybiegł Makwa z wypiekami na twarzy, które na pewno nie były spowodowane mrozem. Duszkiem wypił lodowatą herbatę i ciężko klapnął na taboret. Wraz z Krzyśkiem w milczeniu wpatrywaliśmy się w młodszego chorążego czekając na wyjaśnienia.

- Ale się narobiło. Mamy przesrane – wykrztusił wreszcie.

Pomyślałem, że przesrane to ma on, gdyż jakie to zadania i jaką odpowiedzialność mogą złożyć na mnie - „bażanta”? Był luty, a przed pierwszym maja kończę służbę i idę do cywila. Rok w bajzlu odsłużyłem. Przedłużyć mi służby nie mogą, chyba, że trafię na dłużej do „ancla”⁶.

- Przyjeżdżają, a chyba to już są jacyś generałowie z MON-u. Ściągają tu pułk śmigłowców z Pruszcza Gdańskiego, jakąś artylerię i rakiety. Wraz z braniewiakami⁷ będą robić zajebiste manewry. Ja zaraz jadę na komendę poligonu po namioty i sprzęt obozowy oraz zapasowe sorty, a ty będziesz wydawał kompaniom wszystko jak leci. Zaraz też odpalacie Stara i robimy łaźnię.

- Opróżnimy magazyn? Przecież nie starczy...

- Przecież kurwa wiem! Mówiłem kwaterowi, ale mnie zjechał. Rychu Bukowski ma zjechać z zapasami z magazynów z Mazurskiej. Kwater kazał mu zebrać jedynki, dwójki, a nawet co lepsze piątki⁸. Coś się chłopaki poważnego szykuje – dodał z przejęciem. Popatrzyłem na jego smagłą twarz z ciemnym, acz chłopięcym jeszcze zarostem. Makwa miał z dwadzieścia dwa lata, był synem chorążego z Braniewa, czyli trepem z trepa. Do armii podchodził z entuzjazmem, jak ja, kiedy miałem kilka lat i z wypiekami na twarzy oglądałem „Czterech Pancernych”. Przy mnie lubił chwalić się swoimi przewagami, chcąc w ten sposób dodać sobie powagi i doświadczenia. A ja, mówiąc szczerze, traktowałem go z przymrużeniem oka, choć też od czasu do czasu próbowałem na niego delikatnie wpływać. Po jego słowach zapadło milczenie. Zza brezentu NS-a dobiegały odgłosy silników, pokrzykiwania ludzi i inne trudne do zidentyfikowania dźwięki. Myślałem o tym, co oznacza, takie opróżnianie magazynów. Mogły to być gigantyczne manewry, które czasami oglądałem w wojskowych programach w telewizji. Do tego daleki przemarsz. Do tej pory przecież w pułku wspomniano przejazd czołgów z okolic Drawska aż do Żagania. Ale jeżeli dodać do tych wiadomości tyle nowych i używanych zestawów mundurowych, to... oba pułki dywizji musiały ściągnąć na poligon rezerwistów i szkieletowe obsady koszar. W kraju panowała bieda, a takie ćwiczenia będą kosztowały bajońskie sumy. Choćby samo paliwo do naszych Starów, które piły benzynę jak smoki.

Chwyciwszy rozpiskę od kwatera wraz z Krzyśkiem zacząłem przeglądać nasz magazyn, zapobiegliwie wybierając sobie po komplecie „nówek”. Wkrótce też zaczęli pojawiać się szefowie kompanii po nasze zapasy, wymieniając hurtowo brudne i podarte na wyprane i połatane, jednocześnie jak zwykle psiocząc na moje skąpstwo. Na co nie zwróciłem wtedy wagi, to fakt, że posiadali oni różnej długości listy z nazwiskami ludzi, którzy mieli pojawić się tu, w Okonku – po cywilnemu. Zwykle procedura dla rezerwistów przewidywała pobranie umundurowania i wyposażenia w jednostce, a dopiero potem wyjazd pod namioty. Po trzech godzinach użerania się i wzajemnej żołnierskiej „serdeczności” opróżniliśmy do czysta nasz namiotowy magazyn i przy wsparciu trzech chłopaków z zaopatrzenia, zaczęliśmy grać wodę na kąpiel. „Chętnych” zbyt wielu nie było: kilku medyków, kucharze,

⁶ Potoczne określenie aresztu.

⁷ 55 Pułk Zmechanizowany z Braniewa.

⁸ Umundurowanie zaliczano do trzech kategorii użytkowych: I – przedmioty nowe, II- przedmioty używane, V – przedmioty przeznaczone do wybrakowania.

zaopatrzeniowcy i mający przerwę w służbie. Wykorzystałem luźniejszą chwilę i przyniosłem chłopakom coś na ząb, gdyż większość obsługi kuchni wyjechała z jedzeniem na czołgowisko. Potem ruszyłem, by rozprostować nogi. Natknąłem się na kwatera, który także mnie spostrzegł, nie dając szansy na manewr ucieczki. Zrelacjonowałem mu wydawanie odzieży oraz naszą aktywność kąpielową. Pokiwał głową, chyba nie do końca słuchając. Korzystając z nietypowego dla kwatermistrza zamyślenia, zadałem pytanie:

- Obywatelu majorze, czy można zapytać...

Zbystrzał, podniósł na mnie wzrok i skinął głową.

- Według mojego rozeznania, to dzisiaj złamaliśmy sporo przepisów mundurowych. Ja wiem, że rozkaz, ale potem trzeba będzie to wszystko w papierach odkręcać.

Patrzył na mnie zaskoczony, potem nagle roześmiał się.

- Tym się podchorąży nie przejmujcie. Wkrótce może się okazać, że nic nie trzeba będzie rozliczać. Wracajcie podchorąży do swoich zajęć. – Klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu.

Zasalutowałem i ruszyłem do siebie jeszcze głębszy niż poprzednio. Major Ochódzki był znany z pociągu do gorzały i bab, które jak głośliwa powszechna fama, zajmowały większość jego czasu, także garnizonowego. Ze dwa razy ostro mnie zbeształ, w sumie bez powodu i ogólnie chyba nie lubił mnie. Jak zresztą innych „bażantów”. Zerknąłem po drodze do kompanii sanitarnej. Lekarz Piotrowski, zwany ze względu na kolor czupryny „płonącym wieżowcem” wrzeszczał w swoim namiocie na sanitariuszy, więc zrezygnowałem z odwiedzin. Powlokłem się do parku maszyn, leżącego o kilkaset metrów od miasteczka namiotowego. Przy kilku „mułach” i bewupach⁹ trwała gorączkowa krzątanina, parę cystern z MPS-u¹⁰ tankowało pojazdy, wjeżdżało, bądź opuszczało plac. Zwróciłem też uwagę na kilka ciężarówek, z których szweje zdejmowali ostrożnie sporych rozmiarów skrzynie. Serce zaczęło mi walić, zabrakło powietrza i zrobiło się słabo. Głupio to teraz przyznać, ale naprawdę się zestrachałem. Zaczęło do mnie docierać o co w tym wszystkim chodzi. Wróciłem do namiotu i zdesperowany wyciągnąłem z dna skrzyni z dokumentami grubą, pustą brulion. Nie rozebrawszy się, zacząłem pośpiesznie spisywać wrażenia z dnia. Potem przyjechał Makwa, więc razem zapełniliśmy magazyn nową porcją worków z bielizną i mundurami oraz sprzętem obozowym. Po zmroku zaczęły zjeżdżać kompanie z poligonowiska, więc my – mundurowcy – znaleźliśmy się nagle w centrum zainteresowania. Było dobrze po jedenastej, kiedy wygnaliśmy ostatniego kąpiącego się i ostatniego szweja, który przyszedł „wymienić się”. Krzysiek przyniósł nam po puszcze i bochenek chleba na szczęście. Makwa wyciągnął ze swojego ZN-u¹¹ flaszkę, którą solidarnie rozpiliśmy bez zwracania uwagi na stopień i stanowisko służbowe. Rozmowa nie kleiła się, więc zmordowani zapakowaliśmy się w śpiwory. Spać! Spać! Spać!



Następny dzień zaczęliśmy nietypowo (jak na mundurówkę), bo od zbiórki pułku. Obok dowódcy, majora Dudzińskiego stało kilku trepów, wyraźnie starszych stopniem i wyglądem, w nówkach polowych mundurach, czyli pewnikiem z MON-u. Wraz z Makwą

⁹ Potoczne nazwy czołgu T-55 oraz Bojowego Wozu Piechoty.

¹⁰ Materiały pędne i smary – największy składnik każdego pododdziału zaopatrzenia.

¹¹ Zapas nienaruszalny. Obejmował żywność, zapasową bieliznę i onuce oraz środki opatrunkowe. ZN żołnierz mógł użyć na wyraźny rozkaz dowódcy. ZN-em nazywaliśmy także zapasy alkoholu i papierosów na „czarną godzinę”.

stanąłem karnie w kolumnie kadry, wraz z „bażantami” i „łabędziami” z tym, że bez zwyczajowych, cichych pogawędek. Pojawił się też sztandar pułku, który przemaszerował przed frontem, były komendy i saluty. Major Dudziński oddał szybko mikrofon podłączony do propagandowego „Żuka” niskiemu, grubemu gościowi, który zapewne był najważniejszy. Stojąc w niewielkim zagłębieniu, tylko unosząc się na palcach, mogłem zobaczyć czubek jego głowy, a po mocnym wychyleniu się, część godnej sylwety. Nie pamiętam już dokładnie, ale jego przemowa szła mniej więcej tak:

- Towarzysze, członkowie naszej partii, kandydaci, członkowie ZMS, ZMW! Żołnierze! Potem oczywiście było o budownictwie socjalistycznym, pokojowych inicjatywach Związku Radzieckiego i niewdzięcznych posunięciach NATO, kierowanych przez imperialistę Reagana. Ponoć w NRF-ie oraz na Morzu Północnym i Bałtyku natowcy odbywali gigantyczne, niespotykane wcześniej co do skali ćwiczenia, podchodząc coraz bliżej granic NRD i Czechosłowacji. Ze względu na liczne naruszenia przez ichnie okręty i samoloty „naszych” pokojowych granic, dowództwo Układu Warszawskiego postanowiło za pomocą wybranych jednostek, które przodowały w wyszkoleniu i przy okazji aktualnie ćwiczyły, odpowiedzieć „kontrmanewrami”. W pierwszym etapie miała być przeprowadzona ćwiczebna mobilizacja niektórych wojskowych specjalistów wraz z krótkimi ćwiczeniami pułkowymi i batalionowymi. Następnie miał się odbyć przerzut wojsk do NRD. Tam też miały przebiegać wielodniowe, wspólne manewry z wojskami radzieckimi i niemieckimi. Mieliśmy dobrze i czynnie wykorzystać ten niepowtarzalny czas na doskonalenie wojskowego rzemiosła, by nie przynieść ujmy mundurowi Ludowego Wojska Polskiego. Marzących na kilkustopniowym mrozie żołnierzy generał odesłał do zajęć, a kadrę spędzono do kantyny, gdzie ściśnięci jak śledzie w beczce, wysłuchaliśmy dalszego ciągu. Tam już ów generał brygady (dało mi się dostrzec ile miał na pagonach) zdecydowanie zmienił ton. My, kadra, mieliśmy natychmiast i ostro reagować na łamanie regulaminu i niesubordynację. Każdy żołnierz zawodowy, podchorąży miał nosić ze sobą broń, należało przeprowadzić z żołnierzami pogadanki, szkolenia, etc. Gdy skończył, zapadła cisza.

- Czy są pytania? – zapytał tak proforma.

Niespodziewanie rękę podniósł świeży „bażant” z jesienno-poboru.

- Obywatelu generale, ale kilku podchorążych nie dostało jeszcze broni osobistej, znaczy się... - głos mu się nagle załamał pod kilkoma miążdżącymi spojrzeniami -... y, znaczy nie kazano nam na poligon zabierać...

Generał obrzucił Dudzińskiego piorunującym wzrokiem.

- Jak wy, do kurwy nędzy, na wojnę się wybraliście podchorąży? Z dupy będziecie strzelać?

Pomimo niewątpliwej pocieszności generalskiego pytania, w namiocie-kantynie panowała grobowa cisza.

- Towarzyszu majorze, natychmiast rozwiązać tę sprawę a winnych ukarać. Jeżeli nie ma więcej pytań, zostają członkowie i kandydaci partii, a pozostali odmaszerować do zajęć! Wyszliśmy ponuro milcząc, ja osobiście także lekko wystraszony. Mnie też dowódca kompanii zaopatrzenia „odradził” zabranie broni na poligon. Gdyby się zgubiła, to wielu ludzi, w tym on i ja mielibyśmy przegwizdane.

Grupy „bażantów” i „łabędzi” oddzieliły się od siebie – wyraźnie obie frakcje podchorążych nie były sobie zbyt bliskie. Stańto nas z dziesięciu w pewnej odległości od kantyny (co było głupie, gdyż „tajniak”, czyli szef pułkowego wywiadu dostał o tym meldunek), by w „plemiennym” gronie rozładować emocje. Jako że byłem „sztabowcem”, do tego

wykwaterowanym oraz wyprowiantowanym¹², niezbyt dobrze znałem resztę. Chyba dlatego na mnie naskoczyli.

- Ty, czemuś nie mówił, że coś takiego się szykuje?

Zaperzyłem się. Skąd ten front przeciwko mnie? Agresywnie natarłem na masywnego łepka w czarnuchu.

- A skąd miałem wiedzieć? Czy wy myślicie, że trepy przychodzą do mnie pogadać? To u was powinno szybciej być wiadomo, co się kroi. Wy macie dodatkowe przeglądy, czy coś takiego!

- Dobra, nie kłóćmy się chłopaki – sierżant podchorąży też w czarnuchu załagodził.

- Czy ten generał, kurwa, powiedział temu młodemu o wojnie?

Kilka głów potwierdziło kiwnięciem.

- Mamy więc przegwizdane – skwitował dosadnie sierżant. – Słuchaj Tomek – przypomniał sobie moje imię – da radę się ekstra wymienić na tę wojnę?

Nie lubiłem tego „przy okazji” załatwiania spraw, ale skinąłem głową.

- Dzisiaj albo jutro mają mundury przyjechać z Elbląga. Zróbcie mi listę z nazwiskami i rozmiarami. Jak wszystko to będzie jeszcze na miejscu, to mogę wam wieczorkiem odpalić łaźnię.

Przybiliśmy sobie po piątce i rozeszliśmy się. Ja oczywiście skręciłem do magazynu żywnościowego, gdzie pod nieobecność chorążego zarządzał starszy kapral z zasadniczej (nazwiska, niestety nie pamiętam). Wyłuszczyłem mu swoje żale na nieregularne żywienie, wysłuchałem bogato okraszanej repliki, po czym dostałem obietnicę otrzymania solidnych schabowych (cudownie pojawiły się w menu) oraz zabrałem kilka puszek. Przydały mi się potem, ratując od głodu oraz jako „waluta”.

Dzień minął mi na wyjazdach na czołgowisko wraz z worem czapek, kominiarek i rękawiczek, które generał „zaordynował” do wydania. Tam też miałem możliwość obejrzenia przemarszów w te i w te w te kolumn kompanijnych oraz wysłuchania tradycyjnego szwejskiego narzekania. W którymś momencie, wuzetę¹³, którą podróżowałem zatrzymał sowiecki „regulirowszczyk”, by przepuścić formację wieloosiowych terenowych ciężarówek wiozących rakiety o potężnej średnicy. Całość miała w sumie wymiar dość humorystyczny, bo Ruscy na widok kilku polskich czołgów, postanowili dać pokaz umiejętności i brawurowo pognali poligonową drogą, aż jedna z maszyn ugrzęzła w oparzelisku. Po kilku własnych próbach, komentowanych wesoło przez naszych, podszedł sowiecki oficer i poprosił jednego z naszych podporuczników o pomoc. Wysadzono mnie z WZT, a stara maszyna pomogła sowieckim kamratom wykaraskać się. Oczywiście żaden z towarzyszy nie pofatygował się, by podziękować, co dodało umoralniające zakończenie wesołej opowieści. Podporucznik zaraz po szkółce zmilczał, ale szweje, zwłaszcza „dziadkowie”, nie żalowali sobie, oceniając maniery naszych „towarzyszy broni”.

Temperatura podniosła się nieco powyżej zera, głównie dzięki ciepłemu wiatrowi, przynoszącemu szkwalisty deszcz ze śniegiem. W odwiedzanych kompaniach i plutonach panowała nerwowa, pełna agresji atmosfera, potęgowana przez parszywą pogodę, głód, brak pewności co do najbliższej przyszłości. Wojskowi na różnych szczeblach różnie przyjmowali najnowsze wytyczne. Najbardziej kłęli kierowcy, mechanicy i kucharze, bo każdy taki przemarsz i ćwiczenia, nawet zagraniczne, najbardziej im dawały się w kość. Najlepiej

¹²Podchorążowie rezerwy (Bażanty), jeżeli mieszkali w miejscu stacjonowania jednostki wojskowej mogli się (po odpowiednich zabiegach) wykwaterować do domów i wyprowiantować. Otrzymywało się za to pewną kwotę do żołdu.

¹³WZT-2 – wóz zabezpieczenia technicznego polskiej konstrukcji, oparty o podwozie czołgu T-55.

chyba przyjmowali rozkazy „łabędzie”, ściskający pośladki na okoliczność obejrzenia w akcji najnowszego sprzętu (na który Polaków-bidaków stać nie było) i zaszpanowania przed enerdowskimi kurewkami.

W „domu” byłem po 18, ale zdążyłem załapać się na kolację i pochłonąć dwa schaboszczaki, choć lodowato zimne. Jeszcze później dowódca wezwał wszystkich szefów służb i dowódców kompanii na odprawę, a ja korzystając z okazji, dopadłem łącznościowców i już po około kwadransie uzyskałem połączenie z rodzicami. Opowiadałem, co słyshać oględnie, że nasze ćwiczenia przedłużą się, że będziemy przemieszczać się na inny poligon (to musiało być proroctwo). W domu wszystko niby było OK, choć tata przekazał informację o przekształcaniu niektórych szkół i domu dziecka na szpitala oraz dla przyjęcia uciekinierów. Oficjalnie było to związane z akcją przeciwpowodziową na Żuławach. Wieczorkiem, przy słabej żarówce, napisałem dwie kartki w „pamiętniku” i skrobnałem dłuższy list do Basi. Makwa obiecał, że będąc w Okonku, wrzuci go do skrzynki.



W nocy budziło nas kilkakrotnie wycie pracujących na wysokich obrotach dieslowskich silników. Kilkadziesiąt metrów od naszej mundurówki biegła jedna z mniej uczęszczanych dróg, której „popularność” wzrastała nocą. Wszyscy byliśmy zbyt śpiący, by przywiązywać do tego wagę, zwłaszcza, że nasza „koza”, jak zwykle błyskawicznie, przeszła od czerwoności do lodowatego zimna, skutecznie zniechęcając do wyściubiania nosa z betów.

Zerwano nas przed szóstą, jak to wczoraj zapowiedział dowódca. W dresach i „sportowych” gumofilcach popędziliśmy wraz z kompanią zaopatrzenia na dwudziestominutową rozgrzewkę. Sportu zażywał nawet kwater, bacznie obserwowany mocno się starał, by dorównać młodszemu. Wróciliśmy mokrzy od potu, a ja z obolałym gardłem i zalodzonymi oskrzelami. Wiedziałem, czym to grozi, ale oczywiście szansa na udanie się z tym do lekarza nie miałem, pewnie by mnie i tak pogonił. Po śniadaniu wszystkie pododdziały liniowe pojechały na czołgowisko. Sensacją dla mnie było lądowanie śmigłowca Mi-2, do którego wsiadło nasze naczalstwo, a potem przelot kilkunastu takich maszyn z podwieszonymi wyrzutniami rakiet w asyście prawdziwych szturmowych „koni”, czyli Mi-24. W międzyczasie pojawił się Rychu Bukowski – nasz sierżant, magazynier mundurowy z jednostki w Elblągu. Przywiózł z sobą dwa Stary z przyczepami, wypełnionymi po brzegi. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy się rzeczy przewidziane do wymiany rzucić do namiotu a sprzęt obozowy zostawić na pace. Później okazało się, że była to słuszna decyzja. Rysiek przywiózł też sporo nowości. 1 Pułk Czołgów z ulicy Grottgera już się zapakował na transporty, a część maszyn przedelfilowała przez miasto wzbudzając oczywistą sensację i falę plotek. Na Mazurskiej zostało dosłownie kilku zawodowych oraz pracownicy cywilni. Przed wyjazdem Rychu umundurował jeszcze około stu chłopca, których przywieziono autobusami PKS-u ponoć aż pod Szczecin. Większość sprzętu naszego pułku ładowano nocami i wysyłano gdzieś na zachód, ale gdzie - Bukowski nie miał pojęcia. W Berlinie Zachodnim trwały demonstracje pacyfistów, którzy uszkodzili kawał Muru i podpalili jeden z posterunków. W stolicach Europy Zachodniej przewalały się „pokojoye demonstracje”, a u nas wiecowano w zakładach pracy (oczywiście poparcie dla PZPR). Wielu ludzi w Elblągu dostało karty mobilizacyjne, poczta i kolej zostały na czas manewrów w NRD częściowo zmilitaryzowane, ludzie na potęgę wykupywali, co się dało ze sklepów - nawet wafle i ocet. Na ulicach pojawiły się dawno nie widziane patrole ZOMO, ponoć by uspokajać niezadowolonych stojących w gigantycznych

kolejkach. Jaruzelski z Siwickim co rusz latali do Moskwy, a Amerykanie i Kanadyjczycy zaczęli przerzucać do Europy wojska. Prymas ogłosił tydzień modlitw o pokój, który telewizja ciągle pokazywała. Słowem, na świecie robiło się coraz groźniej.

Zaliczyliśmy też szkolenie polityczne. Nas, podchorążych, spędzono do namiotu politycznych w trybie pilnym, zaraz po chorążych i podoficerach zawodowych. Nieznany mi major kazał najpierw plutkowi¹⁴ odczytać tekst z Żołnierza Wolności autorstwa generała Jaruzelskiego, a potem nastąpiła dyskusja. To znaczy major zadawał na wrywki pytania co do treści wielostronicowego przemówienia, a niepotrafiących odpowiedzieć obsztorcowywał. W końcu wściekły wyszedł z namiotu, a plutek znowu przeczytał artykuł, dukając i myśląc się. Siedzieliśmy coraz bardziej zirytowani, po cichu zastanawiając się jak długo to wszystko ma trwać i czemu służyć. Plutek skończył, na to jeden z „bażantów” zapytał, czy nie przeczytałby raz jeszcze pewnego akapitu, gdyż on słabo rozumiał treść wystąpienia towarzysza generała. Plutonowy widać, że się wściekł, ale ponownie zaczął czytać fragment, akcentując poszczególne frazy, robiąc z agitki poemat. W końcu wpadł major, jakoś dziwnie ożywiony i zaczął rzucać szybkie pytania typu:

- Jaki jest związek z przemianami w wojsku a wytycznymi ostatniego plenum PZPR?

Czy: jakie są zadania LWP w kwestii obrony narodu wobec zagrożeń NATO? Lub w końcu: jak powinien przejawiać się internacjonalizm żołnierza polskiego oraz jego braterstwo broni z bratnimi armiami obozu socjalistycznego?

Ponieważ nadal żaden z nas tego bełkotu nie rozumiał, major zaczął nam wszystko łopatologicznie wyjaśniać, co chwila zerkając na zegarek. Wreszcie niecierpliwie machnął ręką odsyłając nas do zajęć, by przyjąć pierwszą grupę kaprali z zasadniczej. Któryś z chłopaków oddychając swobodniej poza namiotem rzucił, że partia przygotowuje nas do wielkich rzeczy. Do tej pory nie wiem, czy były to słowa prorocze, czy tylko tak chlapanął. Humor poprawiła mi paczka z domu. Moja żona i Baśka Bukowska znały się ze szkoły i tym „kanałem” trafiły do mnie dwa długie listy i portretowa fotka, bielizna, skarpety od babci oraz takie rarytasy, jak kawa i czekolada (nie wyrób czekoladopodobny). Moja kochana musiała nie tylko sobie odmówić (była bardzo łasa na czekoladę), ale także wydębić kartki od rodziny i znajomych, nie mówiąc o „załatwieniu” tych cudów. Zaraz też popędziłem do kuchni, zmieliłem całą dziesięciodekową paczkę Mokki (oczywiście zostawiając w młynku obowiązkową działkę dla szefa kuchni), po czym poczęstowawszy Karola i Rycha całą godzinę delektowałem się kawusią z prawie nowego, melaminowego kubka. Nie przeszkadzali mi ani namolni interesanci, ani harmider na zewnątrz.

Picie kawy w Polsce, zarówno w instytucjach cywilnych jak i w wojsku było celebrawą, posiadacz zaś prawdziwej kawy celebrytą, kimś lepszym niż inni. Z punktu widzenia Niemca, Duńczyka czy Szweda wydawać się to może śmieszne a nawet żałosne, ale my, budowniczo socjalistycznej Polski umieliśmy cenić te nieczęste chwile dobrobytu. W kantine dla kadry – golonka! Chrzanu i musztardy – *skolko ugodno*. Do tego puree z prawdziwych ziemniaków (a nie z paskudnego, smakującego jak trociny proszku) i kiszona, podsmażana kapusta. Zgodnie z tym, co pisałem wyżej, cieszyłem się z „przywileju” jedzenia z zawodowymi, czyli trepami. Pochłonałem swoją porcję, wraz z innymi żałując, że porucznik Chlebek nie załatwił do tego piwa. Gdy wychodziłem z namiotu stanęła mi przed oczami reprodukcja „Ostatniej Wieczery” Leonarda da Vinci. Radość z wyżerki ulotniła się. A przecież nie tak dawno, na studiach uczyłem się, że wielu zwierzętom przed ubojem poprawia się jakość paszy, aby mięso, tłuszcz i inne produkty były lepszej jakości. Czy my też mamy chętniej i tępiej wykonywać rozkazy, przekupieni wspomnieniem o golonce?

¹⁴Plutonowy.

Ogłupiony paskudnymi myślami, powlokłem się do namiotu. Aż mnie gniotło, aby podzielić się swoimi odkryciami. Ale z kim? Rycha nie znałem aż tak dobrze, Makwa był „czerwony”, więc jeszcze by mnie podkablował.

Sjesty nie było, nie było więc też rozpamiętywania. Wszystkich podchorążych wezwano do tajnej kancelarii pułkowej, gdzie kazano podpisywać bez czytania ileś tam kwitów. Tam też spotkałem swojego szwagra, Jana Wasiaka, którego też tu ściągnięto. Był on też „tajnym”, a dodatkowo dowódcą czołgu dowódcy pułku. Jachu uspokoił mnie, że to tylko proceduralne kwity. Uzbrojono mnie w pistolet P-64 z dwoma pełnymi magazynkami a następnie gromadnie zawieziono nas na strzelnicę, gdzie popykaliśmy sobie wywalając cały magazynek pistoletu i 10 sztuk ostrej do kałacha. Sporo było przy tym nerwówki, bo amunicja jak się okazało, była dość „wiekowa”, broń paskudnie się zacinała i wyniki naszego ostrzału były zdecydowanie poza skalą. A przecież w Grudziądzu na szkółce, na 50 możliwych miałem 47 punktów, za co dostałem trzy dni urlopu nagrodowego!

Grupa „łabędzi”, która przyjechała po nas na strzelnicę miała używanie, które pogłębiło i tak dużą frustrację „bażantarni”, z której znaczna część marzyła o zakończeniu swojej „męskiej przygody” z LWP. Przyszłe trepy trafiły na podobne problemy co my, co pozwoliło na wyśmianie ich i radykalną poprawę nastrojów. Wracając na pace ciężarówki, w towarzystwie takich samych jak ja chłopaków, o pagonach obszytych biało-czerwonym bajorkiem, przez chwilę cieszyłem się ich humorem, darmową wycieczką do NRD (gdzie byłem już dwukrotnie, w tym raz na miesięcznym OHP) perspektywą niemieckich „dup” i piwa. Gdy zajechaliśmy na miejsce, wysłano nas do pułkowego płatnika. Dostaliśmy ekstra żołd (kilka stówek) oraz w zależności od stopnia, enerdowskie marki z zastrzeżeniem, że jeżeli ktoś nie wjedzie na terytorium Niemiec, to walutę trzeba zwrócić. Zbliżał się wieczór, cienie rzucające przez mocno operujące lutowe słońce wydłużały się. Szedłem z jednym z „bażantów”, by wymienić mu gumofilce, gdy nad drugim, odległym końcem polany, gdzie kwaterował pułk z Braniewa w powietrze poszybowały rakiety. Dostrzegł je kolega (imię wyleciało mi z pamięci) i zatrzymał mnie. Starając się przebić wzrokiem słoneczne promienie padające z zachodu, próbowaliśmy dostrzec i zrozumieć przyczyny tak nietypowego dla obozowiska sygnału. Skoczyłem do namiotu, wyciągnąłem z bambetli Makwy jego lornetkę i wróciłem na „punkt obserwacyjny”. Nad namiotami „zmechu” powietrze drgało i falowało gęstniejąc od dymu. Niskie dudnienie silników wyraźnie już rozchodziło się po okolicy. Początkowo, oprócz nas dwóch nikt na to nie zwrócił uwagi – nasz „pułkowy” harmider był wystarczająco intensywny. W kilka chwil później, zatrzeszczały rozwieszzone na słupach oświetleniowych głośniki. Początek komunikatu utonął w kakofonii zgrzytów, trzasków i szumów, potem jednak poważny, męski głos przebił się do ludzi, którzy zaczęli zatrzymywać się, by go wysłuchać.

Szło to mniej więcej tak: „Odradza się zachodniemiecki nacjonalizm, dawni hitlerowcy i esesmani podnoszą głowy i przejmują władzę w NRF. Idący na ich pasku Amerykanie, Anglicy, Duńczycy i inne nacje aktywnie wystąpili przeciwko pokojowi w Europie. Na granicy Niemiec Zachodnich i NRD wciąż dochodzi do incydentów prowokowanych przez wojennych podżegaczy. Natowskie samoloty i okręty kilkakrotnie w ostatnich dniach naruszyły granice PRL i otwierały ogień do broniących naszej suwerenności jednostek. W związku z powyższym, rozkazem dowódcy Układu Warszawskiego oraz głównodowodzącego Ludowego Wojska Polskiego, generała Wojciecha Jaruzelskiego, jednostki zostają postawione w stan podwyższonej gotowości bojowej i przeniesione do miejsc ześrodkowania”.

Dalsze słowa z „szczekaczki” utonęły w basowym dudnieniu silników. Zmarznięta ziemia pod Okonkiem drżała, kiedy zaczęły mijać nas pędzące niedaleko od nas bewupy. Niektóre z nich

na polnej drodze wręcz wyskakiwały w powietrze, a wystające głowy kierowców i dowódców pojazdów obijały się o krawędzie włazów. Równolegle, choć zdecydowanie wolniej petzły po drodze braniewskie „muły”, a na pierwszym czołgu łopotał sztandar. Lekki wiatr niósł w naszą stronę chmurę spalin, rozmazując widok. Próbowałem policzyć przejeżdżające pojazdy, ale szybko dałem spokój. Wokoło zebrała się grupka gapiów w moro i czarnuchach, z ekscytacją komentując widok. Tony stali z rykiem przetaczały się opodal podnosząc ciśnienie krwi, wywołując wypieki, a co najważniejsze – dając uczucie wszechpotęgi. Koło zielonego „węża” ustawiły się dwie „szyłki”, celujące w powietrze poczwórnymi lufami, osłaniające przemarsz. Ktoś przytomnie zauważył na niebie smugi kondensacyjne, jakie zostawiła duża grupa samolotów, ktoś inny rzucił, że liczba czołgów wyniosła 38 na 40 w etacie batalionu pancernego zmechanu. Teraz może to wydać się głupie, ale takie widowisko, które czasami określa się jako światło i dźwięk, wywołuje zawsze potężne wrażenie. A tam dochodził jeszcze ruch, smród spalin i poczucie wspólnoty. Tak, zdecydowanie to był najbardziej niesamowity widok, jaki widziałem w moim „pokojuowym” życiu. Po kilku (może kilkunastu) minutach, kiedy czołgi i transporterzy ustąpiły miejsca ciągnikom i ciężarówkom „doszliśmy” do siebie i wciąż rozemocjonowani, ruszyliśmy załatwiać swoje sprawy. Wyrwało mi się wtedy głupie zdanie „gdybyśmy w trzydziestym dziewiątym mieli taki sprzęt, to szkopy by nam nie podskoczyły”. Kolega „bażant” popatrzył na mnie dziwnie i odburknął, że myślę ahistorycznie. Nie było czasu na dyskusję. Makwa przyniósł przed kolacją wiadomość, że mamy się pakować. Jemu było łatwiej, bo miał dwuczęściową, zieloną walizkę sporych rozmiarów. Ja zaś tylko standardowy brezentowy plecak oraz prywatną torbę – nowość, bo z wyciąganą rączką i kółkami. Wraz z przydzielonymi nam żołnierzami zaplanowaliśmy robienie remanentu i pakowanie na wieczór zastanawiając się w jaki sposób po pierwsze wszystko zapakować na przydzielone samochody, a po drugie, jak będziemy rozliczali z komendą poligonu nasze obozowisko. Jak zwykle w takich przypadkach zawsze brakowało czas namiotów (dwie lub trzy spaliły się), plastikowych okienek, taboretów i całej masy drobiazgów. Rychu Bukowski mający w tej materii jako jedyne doświadczenie, tylko się tajemniczo uśmiechał, że zawsze się to załatwi, choć to kosztuje. Musiałem pozostać w namiocie w czasie kolacji, więc wykorzystałem czas na skrobnięcie uspokajających listów do żony i rodziców. Jutro na pewno znajdę czas, by jakoś wrzucić je do skrzynki w Okonku albo (tak twierdził Rychu) w czasie przejazdu rzutu kołowego po szosach. Przypomniało mi się, że w trakcie pisania musiałem przerwać, bo nad nami przeleciała cała armada śmigłowców. Ponoć na pobliskim lotnisku pojawili się ruscy spadochroniarze i jednostka ciężkich helikopterów. Zajęty wykonywaniem bieżących rozkazów, martwiąc się o najbliższych i własną przyszłość, nie dostrzegałem coraz ewidentniejszych oznak zbliżającej się wojny. Tak jak ogromna większość ludzi po obu stronach niemieckiej granicy nie dopuszczałem do siebie myśli, że to „prężenie muskułów” skończy się tragiczną „bijatyką”. Może kilku „bażantów”, którzy związani byli z NZS-em czy podziemną Solidarnością widziało to, pewnie oficerowie w sztabie wysoko oceniali takie ryzyko, ale nie reszta, do której się zaliczałem. I jak się mnie potem pytano, naciskając, abym „zdradził” swój militarystyczny zapał, bym powiedział jak to do napadu na Zachód przygotowywałem się, to ciągle i uparcie odpowiadałem, że byłem tak samo zaskoczony tym wszystkim jak cywile. A może i bardziej, bo siedząc kilka tygodni w odizolowanym namiotowym miasteczku, poddany propagandzie, bez możliwości sprawdzenia wiadomości, po prostu przyjąłem tę mobilizację jako wstęp do manewrów. Tak jak chcieli to komuniści.

Nie zdążyłem napocząć przyniesionej przez chłopaków kolacyjnej porcji, gdy wpadł goniec wzywający nas na odprawę do kwatery. Major Ochódzki był wyraźnie zdenerwowany i nie starał się tego ukryć. On musiał już coś wtedy wiedzieć. W namiocie cisnęło się kilkunastu ludzi – trepów, „łabędzi” i trzech „bażantów”, z których byłem najstarszy stopniem i stażem. Ochódzki sklął podoficera z MPS-u i zaczął tak:

- Teraz, kurwa, słuchać, pytania na końcu!

Zgodnie z tym czego się domyślaliśmy, wszystkie pięć kompanii czołgów, kompania zmechanizowana, pelotka, zwiad, remontowcy ładują się na transporty kolejowe. Pierwszy wyjazd planowany jest na drugą w nocy, następne co dwie -trzy godziny. Kompania zaopatrzenia bez części MPS-u¹⁵ jedzie na kołach wraz z pozostałym wojskiem w trzech kolumnach, a całością dowodzi kwatery. W razie problemów technicznych, na mapach są zaznaczone miejsca, gdzie warsztaty służb miejskich, POM-y¹⁶ i tym podobne placówki mają udzielić nam niezwłocznej pomocy. Rzut kołowy wyrusza około piątej rano. My, jako mundurówka, załapaliśmy się na trzecią, ostatnią kolumnę. Dowódca każdej kolumny dostał marszrutę, czasy, kody, punkty kontrolne itd. Moja ciekawość, by poznać punkt docelowy naszego marszu nie została zaspokojona. Dowiedziałem się tylko, że pierwsza kartka kończy się na miejscowości za Szczecinem.

Rozliczenie poligonu miało nastąpić później, po powrocie z manewrów. Pod „opieką” komendy poligonu mieliśmy zostawić także nasz pułkowy sprzęt obozowy. Szturchnięty przez Rycha zabrał głos Makwa, dopytując o owo rozliczenie. Mieliśmy wcześniej rano pojechać do Okonka, zabrać magazyniera komendy poligonu spod domu i szybko przeliczyć namioty oraz najważniejszy sprzęt. Uspokojeni tym wróciliśmy do siebie i zabraliśmy się do pakowania. Po kilku godzinach okazało się, że za Chiny Ludowe nie da się załadować naszych namiotów, piecyków, materacy i całej mundurówki. Niby mieliśmy odpowiednią liczbę pojazdów, ale o ile do Stara - łaźni można było wrzucić worki i materace, tyle do antycznej „pszczołki”¹⁷ – cysterny nic nie dało się załadować. Po drodze zresztą musieliśmy wylać z niej większość wody, aby była w stanie nadążyć za kolumną. Tyraliśmy wraz z przydzielonymi nam żołnierzami przez większą część nocy, by wreszcie „walnąć” się na trzy godziny na pustych już łózkach. Całe szczęście, że mróz zelżał a i nasza rozpalona do czerwoności „koza” stanęła na wysokości zadania.

Kiedy wyszliśmy rano z namiotu obozowisko przypominało ul. Odprawiono dopiero drugi transport, pierwszy rzut kołowy był także opóźniony ze względu na totalne zablokowanie dróg. Z tego co później się dowiedziałem, niedaleko doszło do katastrofy kolejowo-drogowej, kiedy ładująca się na transport ruska jednostka czołgów najpierw uszkodziła torowisko na stacji, a potem doprowadziła do wykolejenia pociągu osobowego na przejeździe. Trasa na zachód została na cały dzień zablokowana.

Zgodnie z naszym planem wskoczyliśmy z Makwą do wyładowanego Stara i pojechaliśmy do Okonka po magazyniera. Niewysoki, chytry na twarzy gość nie ukrywał swojej złości, że tak wcześniej musi udać się do pracy. Od wybuchu powstrzymał go widok nas pod bronią i fakt, że Makwa nie był mu bliżej znany. Wpakował się na pakę i przez całą drogę siedzieliśmy na worach kiwając się i rzucając sobie zimne spojrzenia. W końcu zapytał mnie, czy wiem, gdzie jedziemy. Odparłem zgodnie z prawdą, że na zachód, a poza tym, jak on -

¹⁵ Materiały Pędne i Smary – jedna z wyspecjalizowanych służb kwatermistrzowskich, obok mundurówki i żywnościówki.

¹⁶ Państwowe Ośrodki Maszynowe – warsztaty mające wspierać mechanizację rolnictwa.

cywil mógł o to pytać. Obruszył się i zamilkł, ale potem ściszym głosem powiedział, że polskie dywizje jadą pod Rostock, a dalej wzdłuż Morza Bałtyckiego. Na moje pytanie skąd to wie, odparł z wyższością, że w końcu piło się z niejednym. Gdy podziękowałem, dodał, że jego żona jest kierowniczką miejscowej księgarni, gdzie odłożyła mapy NRD i innych krajów oraz rozmówki polsko -niemieckie. Ponownie podziękowałem i powiedziałem, że odwożąc go, na pewno nie omieszkamy się zaopatrzyć. Cóż, życie pokazało, że handlowy spryt magazyniera bardzo mi się przydał. Samo przekazanie terenu obozowiska zajęło około trzech godzin. Na faceta chyba podziałało też zamieszanie i powaga sytuacji i nie był jak zwykle skrupulatny. Na koniec, żegnając się z kwaterem, zgodził się na spory karton puszek i dwa literki wódki, którą ja miałem kupić. Tym samym dowiedziałem się o moim nowym zadaniu. Zapakowałem się do Stara, by odwiedzić pana magazyniera. Zahaczyliśmy o miasteczko, gdzie wysłałem wymiętolone w kieszeniach listy, zakupiłem u „znajomej” pana magazyniera spod lady większą ilość wody i oczywiście mapy NRD, NRF i rozmówki. Molestowany przez panią sprzedawczynię do listy dorzuciłem mapę Danii, zastanawiając się, na co ona mi się przyda. Jak obywatel PRL-u, po studiach, wojsku, miałby dostać paszport i duńską wizę? Pogapiłem się na książki, wziąłem jeszcze ze trzy „Żółte Tygrysy” i wyszedłem. Przed sklepami spożywczymi stały długie ogonki, CPN nie miał paliwa, ludzie biegali za swoimi sprawami już nie zwracając uwagi na nasz zgrzytający biegami samochód. Taki obraz ostatnich dni pokoju w Polsce mam wciąż pod powiekami.

Nasze obozowisko było teraz wyludnione. Tu, w wyczyszczonym ze sprzętu NS-ie odbyła się nasza ostatnia narada. Nowy rozkaz kwatery brzmiał: wraz z Rychem Bukowskim mamy odłączyć się od kolumny i zjechać na kolejny poligon, tym razem w miejscowości Głębokie. Tam przygotowujemy obozowisko dla kolejnego mobilizowanego w Elblągu pułku czołgów. Po kilku dniach, po przekazaniu ichniemu kwaterowi obozowiska, mamy dogonić sześćdziesiąty. Wraz z Rychem i mną jechało jeszcze dziesięciu żołnierzy, dwa Stary 66 z przyczepami i „pszczołka”. Przez moment zobaczyłem się w jej kabinie i poczułem strach. Rychu, który podszedł do mnie chyba wyczuł mój nastrój, bo skwitował następująco:

- To będzie kara dla największych opierdalaczy.

Pokiwałem głową. Skoczyłem ostatni raz za drzewo i wpakowałem się do szoferki, gdzie natychmiast zająłem się uszczelnianiem kabiny. Dach i spora część drzwi Stara wykonane są z brezentu, co w warunkach upału wzmaga naturalną klimatyzację. Pojazd, którym jechałem był jednym z najstarszych w naszym pułku (tak się później dowiedziałem), więc i kabina miała masę dziur. Stary koc powędrował nad szybę, drugi wcisnąłem w szczelinę drzwi. Była jeszcze dziura w podłodze, ale tam poszedł śpiwór. Wprawdzie nie było zbyt wygodnie, ale zdecydowanie cieplej. Żadnego ogrzewania oczywiście nie było, tylko lewa goleń chwyciła ciepło od osłony silnika. Dobrze i tyle. Ciężarówka zaczęła formować kolumnę, ogarniane przez owczarka - UAZa. My oczywiście na samym końcu, a ja w lusterku miałem jeszcze doglądać „pszczołkę”. Było już bardzo późno, kiedy wreszcie wyruszyliśmy. Początkowo bujając się jak na sztormującym statku na koleinach czołgowej roboty, potem na zniszczonej drodze brukowej, ze średnią prędkością nieprzekraczającą 20 km/h. Pogoda była paskudna – ciężkie chmury zawisły tuż nad lasem, a ja miałem wrażenie, że uciskają mi mózg. Mój kierowca, „dziadek z jednym petem”¹⁸, co chwilę rzucał kurwami dosłownie na wszystko. W końcu wkurzyłem się i kazałem przestać. Mruknął coś o „bażantarni”, ale przyduszony morderczym spojrzeniem, zamknął się. Wytoczyliśmy się w końcu na szosę tuż za Podgajami. Z historii pamiętałem, że w czterdziestym piątym pierwsza armia LWP tłuła się tu na tzw. Wale Pomorskim. Poza tym nic. Nie miałem tu żadnej rodziny ani znajomych, a poza tym bez

¹⁸Żołnierz kończący dwuletnią zasadniczą służbę wojskową, starszy szeregowy.

samochodu trudno było tu dotrzeć. Takie same jak w okolicy Elbląga pegeerowskie czy spółdzielcze gospodarstwa, małe miasteczka z podobnymi, ceglanyimi domami, lasy i zaśnieżone pola. Udało nam się przyśpieszyć do czterdziestu na godzinę, utrzymując około dwudziestometrowe odstępy między samochodami. Co rusz, na poboczu widziało się wojskowe ciężarówki, Żuki, Nyski i sporo Fiatów czekających na coś. Minęła nas kolumna kilkunastu pekaesowskich i miejskich autobusów wypełniona dziećmi. Zauważył ich kierowca i oczywiście zaklął. Po pokazie pułku z Braniewa był to najbardziej wstrząsający widok. Na poligonie byliśmy totalnie odcięci od rzeczywistości, propagandowa papka skutecznie przytłumiła zmysły i zdolność do racjonalnego myślenia.

- Podchorąży, co to kurwa jest? Dlaczego wywożą dzieci? – kierowca krzyknął do mnie pełnym strachu głosem.

- Patrz na drogę kretynie, bo nas zabijesz! – chwyciłem za kierownicę wyprowadzając maszynę znów na asfalt. Obaj głęboko westchnęliśmy uniknąwszy przydrożnego drzewa.

- Wygląda to na przygotowania do wojny. Jak zjedziemy z głównej szosy, to zatrzymamy się przy jakimś kiosku i kupimy gazety.

- I co? Podchorąży myśli, że coś tam będzie pisało?

- A masz lepszy sposób na dowiedzenie się czegoś? – warknąłem zirytowany i zerknąłem w lusterko.

- Zwolnij, „pszczołka” znikła za zakrętem!

- A diabli z nimi! – kierowca zrobił się agresywny. Mimo że byłem starszy stopniem i wiekiem, oraz pewnie miałem krótszy centymetr¹⁹, okazywał mi typową dla szwejków kończących służbę, chamską wyższość. A miałem z nim spędzić co najmniej kilka dni.

- Od postoju to może być twój wóz! – odgryzłem się natychmiast. Spojrzał na mnie drwiąco. W wojsku kierowca generalnie był przypisany do pojazdu jak chłop pańszczyźniany do roli. Oczywiście, jeździli od czasu do czasu innymi wozami, ale zasada obowiązywała. Nie mogło mu przyjść do głowy, że jakiś „bażant” może mu namieszać.

- Nikt ci nie powiedział, że od wczoraj obowiązują specjalne rozkazy? Że niesubordynację będzie się karało surowo? Do ancla chcesz trafić?

Ton, z jakim powiedziałem te słowa, musiał zachwiać jego pewnością siebie. Słowa o zbliżającej się wojnie, które padły w tej kabinie, ta powszechna mobilizacja w końcu musiała nawet w jego niezbyt rozwiniętej korze mózgowej pobudzić procesy kojarzeniowe. Zaczął gapić się w lusterko i zdjął nogę z gazu. Przyczepa i ciężarówka przed nami zaczęły się powoli oddalać. Kiedy ich wsteczne światła zatarły się w szarówce dnia, dojrzałem w lusterku człapiącą powoli „pszczołkę”. Po kilku kilometrach jej kierowca w końcu dogonił nas i w dwie maszyny wlekliśmy się pomiędzy masą innych pojazdów, które wyprzedzały naszą „kolumnę”, oddzielając od reszty Starów sześćdziesiątego pułku. Na szczęście droga nr 22, czyli „berlinka” wiodła prosto na Berlin, czyli tam, gdzie mieliśmy się początkowo kierować. W tym napięciu o mało co nie przegapiliśmy naszych stojących na postoju. Co mniej więcej dwie godziny pojazdy musiały się zatrzymać, a kierowcy mieli czas na odpoczynek. Oczywiście tak miało być, ale wszystko zależało od rozkazów i prowadzącego trepa. Poza Bukowskim nikt nie połapał się, że dwa samochody z kolumny zniknęły, a ja nie uważałem za stosowne zgłaszać naszych problemów. Nasz wypoczynek trwał sporo krócej, potem ruszyliśmy dalej. Sytuacja powtórzyła się, na wzniesieniach trzeba było zwolnić do żółtego tempa, by stara ciężarówka dała radę. Mój kierowca - Mirek – rzucał mi wściekłe spojrzenia, ja najchętniej też bym olał starego grata, ale cholerne sumienie nie pozwoliło mi zostawić

¹⁹ „Dziadkowie” mieli w zwyczaju odliczać dni pozostałe do wyjścia z wojska poprzez odcinanie centymetra. Jako tzw. „rezerwa” pokazywali wszem wokoło malejące odcinki. Trudno było nimi dowodzić i egzekwować rozkazy.

załogi wojskowego antyku. „Pszczółka” jakoś się trzymała, a nawet przyśpieszyła nieco, więc po jakimś czasie dostrzegliśmy wspinającą się na wzniesienie grupę ciężarówek. Byłem naprawdę wściekły, kiedy przed maskę wyskoczył szwejk z flagami dając rozpaczliwe znaki do zatrzymania się. Obaj z kierowcą skłękaliśmy żandarmowi soczyście, po czym z rezygnacją otworzyłem drzwiczki, psując wielominutowe wysiłki izolacyjne.

- Sześćdziesiąty? - krzyknął wsuwając czerwoną gębę do środka.

- Przecież widać! – wybuchnąłem. Każdy pojazd miał namalowany żółty wiatrak z odpowiednią liczbą.

- Macie skręcić w pierwszą drogę w lewo. Tam czeka wasza kolumna!

Poczułem jak adrenalina odpływa. Dzięknałem żandarmowi i potoczyliśmy się dalej. Skręciliśmy w lewo i po kilkuset metrach wjechaliśmy na podwórze jakiegoś PGR-u, gdzie stała reszta wozów. Porucznik Chlebek, który dowodził kolumną, na nasz widok mało nie dostał apopleksji, a zielona kabina samochodu ze wstydu zaczęła zmieniać kolor na czerwony. Kiedy w końcu wylażłem na ziemię, postawił mnie do pionu i zaczął jebać przy wszystkich. Że raport, że sąd, że z ancla nie wyjdę. Zacisnąłem zęby patrząc ponad jego głowę i usiłując go maksymalnie olać. Ale on nie przestawał, a mój bierny opór zaczął go dodatkowo nakręcać. Wokoło zbierało się coraz więcej ludzi, w tym i podchorążych. W końcu Chlebek przegiął.

- A co, kurwa mać, miałem „pszczołkę” zostawić na drodze? Przecież ten rzęch ledwo się toczy. A kto kazał go zatankować do pełna wodą? – wyrzuciłem z siebie nagle prosto mu w twarz. – Trzeba pomyśleć, a potem wymagać!

Stał tak z głupio otwartymi ustami, przewracając oczyma. Chyba pierwszy raz w życiu ktoś mu się postawił.

- Wieczorem zgłoszę was to kwatermistrza do raportu! – sapnął wściekły.

- Nie ma problemu – odezwałem się po „cywilnemu”. W wojsku obowiązywał specyficzny kodeks „jebania”. Przełożony mógł cię zgnoić przed równymi tobie, czyli w tzw. korpusie. My, podchorążowie byliśmy zaliczani do korpusu oficerskiego, więc Chlebek zdecydowanie przekroczył zasady, robiąc to przy szwejkach. Tym bardziej, że wykonywałem dokładnie rozkaz kwatery. Czerwony ze złości polazłem do jakiegoś chlewu za potrzebą, a potem dopadłem Ryśka. Gnida jedna mógł się za mną ująć.

- Ty, jedź sobie teraz ostatni i dbaj o „pszczołkę”! Przez ciebie zbieram joby.

Zaczął się tłumaczyć, że musiał trzymać się rozkazów i że nie zauważył, jak się oddzielił. Gówno prawda. Pewnie dziad jeden zasnął i tyle. Powiedziałem mu, że jak mamy razem spędzić kilka tygodni, to musi zacząć myśleć także o nas. Bo i ja mogę się na niego wypiąć i będzie jako odpowiedzialny sam musiał zasuwać.

W końcu dotarło to do niego. Poszedł szukać porucznika, by coś z nim załatwić. Ja w tym czasie zdążyłem sobie otworzyć puszkę z mielonką i ze złości zjeść ją całą.

Przyszedł, gdy zaczęliśmy się zbierać do wyjazdu. Chlebek nie chciał iść na żadne ustępstwa a ja wciąż podładowany wściekłością, myślałem o zemście. Złapałem go za mankieta, gdy pakował się do swojej ciężarówki.

- To co robimy? Zostawiamy „pszczołkę” na drodze, żeby sama dojechała?

Rychu nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Machnąłem na niego ręką i podbiegłem do pszczołki.

- Spuszczaj wodę, szybko! - rozkazałem kierowcy. Pierwsze ciężarówki naszej kolumny wyjeżdżały z podwórka odprowadzane przez kilkunastu gapiów. Młody chłopak, świeży kierowca przestraszył się. Kazano mu przecież jechać z pełnym tankiem. Wrzasnąłem na niego ponownie, więc posłusznie wyskoczył z szoferki i odbił zawór. Ostry strumień wody

rozlał się na nierówne płyty, którymi wyłożone było podwórko, a kałuża wody w świetle jarzeniowej lampy zabłysła jak srebro. Patrzyłem na wskaźnik napełnienia, przeklinając głośno, że tak powoli obniża się. Jakiś gość z gospodarstwa podskoczył z pięściami do kierowcy, że im lodowisko robimy. Wydarłem się na niego jak wściekły, odreagowując za to, co mnie przed chwilą spotkało. Czułem w sercu rosnący wstyd z powodu tego, co robię, a z drugiej strony dziką radość, że też mam władzę i mogę kogoś zbesztać. Gdy wskakiwałem do szoferki swojego Stara dostrzegłem, że w oddali, przy bramie, widać czerwone światła przyczepy. Czyli Rychu czekał jednak. Wytoczyliśmy się na drogę tuż przed grupę ruskich Krazów. Oby naprzód.

- Patrz na drogę, ja zerknę na mapę.

- Robi się, panie podchorąży.

W ciemnej szoferce trudno było zobaczyć szczegóły jego twarzy, ale chyba pokazał mi zęby w czymś na kształt uśmiechu. Kiwnąłem głową i przyświecając sobie latarką zacząłem studiować mapę. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to jeszcze przed kolejnym postojem odbijemy od konwoju Chlebka. A wtedy, tylko znaleźć ten poligon i luzik. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze.